

K.C. HIDDENSTORM

OPOWIADANIE ZAPOWIADAJĄCE POWIEŚĆ „30 DNI”

TRZYDZIESTY
DZIEŃ



K.C. Hiddenstorm

Trzydziesty dzień

*Jestem z tobą w Rockland, gdzie udajesz ducha mojej matki,
Jestem z tobą w Rockland, gdzie zamordowałeś dwanaście swych sekretarek,
Jestem z tobą w Rockland, gdzie śmiejesz się z tego ukrytego żartu (...)*

Allen Ginsberg „Skowyt”

1.

Późne popołudnie przechodziło w wieczór, pogłębiając szarość nieba, wypuszczając na wolność coraz więcej cieni. Victor Pine opierał się nogą o błotnik czarnego mercedesa, bez szczególnego zainteresowania czytając o wygranej Yankesów nad Red Soxami. Nigdy nie był wielkim fanem baseballu, co innego boksu. Może niedługo, skoro uporał się już z pewną uporczywą sprawą, ustawi jakiś...

Na dźwięk zbliżających się kroków poderwał głowę znad gazety; w stukaniu podeszew o beton było coś złowieszczonego, jakaś fałszywa, dodatkowa nuta. W porządku, powiedział sobie, już wszystko w porządku. Trzydzieści dni minęło, koszmar się skończył. On był wolny, Lucile była zdrowa. A to się zdziwi ten irytujący lekarz z Tijuany.

Idący w jego kierunku łysy mężczyzna delikatnie uniósł ciemnoszarą sportową torbę. Załatwione, szefie, mówił ten gest. Victor się odprężył. Strzepnął gazetę, złożył ją, po czym wrzucił na tylne siedzenie mercedesa. W zapadającym zmierzchu i tak gównowo było widać. A górująca nad nim lampa sodowa była zwodniczym pomocnikiem; tego rodzaju światło podobno potwornie psuło wzrok.

– Jakieś problemy, Jimmy? – zapytał łysiego mężczyznę.

Jimmy wymownie dotknął przytroczonego do pasa sig sauera.

– Żadnych.

– Doskonale. – Victor wyjął chusteczkę z kieszeni eleganckiego jasnobrązowego płaszcza i wytarł w nią ręce, zupełnie jakby to on właśnie zastrzelił trzy osoby, a nie zwyczajnie stał, czytając dział sportowy. – Wrzuć torbę do bagażnika i możemy jechać.

– Jasne, szefie.

Victor wszedł do auta, strącając gazetę z fotela; osunęła się z cichym szelestem na zasłaną dywanikiem podłogę. Zignorował trzask klapy bagażnika i wzdrygnął się dopiero na łomot, z jakim Jimmy zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na niego z ukosa i powiedział:

– Mówiłem, żebyś nie trząsał cholernymi drzwiami.

Mężczyzna przejechał dłonią po łysej czaszce.

– Przepraszam, szefie. Nie mogę ich wyczuć, bo w moim wozie...

– Jakoś ciężiej chodzą, wiem – wszedł mu w słowo Victor, po czym przewrócił oczami. Wychylił się do przodu, klepnął kierowcę w ramię i polecił: – Ruszaj.

Silnik mercedesa ożył z przyjemnym dla ucha pomrukiem. Kierowca wycofał auto z parkingu, dodał gazu i pomknął w kierunku głównej drogi. Magazyn FedExu ze stygnącymi w nim trupami został w tyle, zmniejszając się z każdym przejechanym metrem, aż dorównał rozmiarem pudełku zapalek.

Victor wygładził poły swojego eleganckiego płaszcza i wygodniej rozparł się w fotelu. Przymknął oczy, wsłuchując się w płynącą z głośników piosenkę. Co to było? Znał tytuł, miał go na końcu języka. Coś o monarchii. Ach, tak, *Two Princes*. Lucile czasem to nuciła, krzątając się po kuchni. I będzie to robić bardzo, bardzo długo. Będzie nucić tę piosenkę, a potem inne, które przyjdą po niej. Ponieważ była już zdrowa. Nic jej nie groziło.

Jesteś pewien?

Irytujące brzęczenie wdarło się między wyśpiewywane przez Spin Doctors słowa. Victor i Jimmy spojrzeli po sobie z identyczną konsternacją. *Bzyyym, bzyyym, bzyyym!* Co za koszmarny dźwięk. Victor wychylił się do przodu i zapytał:

– Czy to...?

– Telefon, proszę pana – pośpieszył z wyjaśnieniem kierowca, nie odrywając wzroku od drogi.

Victor obliznął spierzchnięte wargi. Patrzył na spoczywającą na podłokietniku słuchawkę, jakby mogła ożyć i rzucić mu się do gardła.

– Nie wiedziałem... – chrząknął – ...że da się na niego zadzwonić.

Kierowca milczał dłuższą chwilę, zanim powiedział:

– Nie da się, proszę pana.

Dziwi cię to? Czy cokolwiek jeszcze cię dziwi?

Kątem oka Victor dostrzegł, jak Jimmy nerwowo dotyka pistoletu. Jakby mógł w tej sytuacji cokolwiek pomóc. Co niby zamierzał? Zastrzelić telefon?

– Odbierze pan? – zainteresował się kierowca.

Victor westchnął. Oczywiście, to się rozumiało samo przez się. Ktokolwiek dzwonił, chciał rozmawiać właśnie z nim. Nie, nie ktokolwiek. To była ona. Ta nawiedzona dziwka. Nayhija Mara.

Telefon wydał kolejny napastliwy brzęk. *Bzyyym!* Victor szarpnął się w przód, chwycił słuchawkę i ryknął:

– Halo!

– Witaj, Victorze – przywitał go kobiecy głos, niski i zmysłowy, wywołujący przyjemne ciarki. – Śpieszysz się dokądś?

Victor wyrzał przez przyciemnianą szybę. Czuł, że znalazł się w pułapce, że się dusi. Ale wcale nie był w pułapce. Patrzył na płonące na atramentowym niebie gwiazdy, na las przemykający w oddali. Okolica wydawała się opuszczona, a mimo to wiedział, że ona gdzieś tam była. Czaiła się w mroku. Jak kot.

– Czego chcesz?! – Ścisnął słuchawkę tak mocno, że pobiełały mu kłykcie. Napotkał strapione spojrzenie Jimmy’ego i zmusił się do zachowania spokoju. – Trzydzieści dni minęło – dodał ciszej.

– Minie o północy – poprawiła go Nayhija.

Czując podpełzającą do gardła panikę, Pine odchylił się w prawo i spojrzął na zegar znajdujący się na tablicy rozdzielczej. Do północy brakowało dwóch godzin. W porządku. Wszystko w porządku.

– Odpierdol się wreszcie – syknął.

– Naprawdę tego chcesz? – wymruczała Nayhija, a on poczuł, że zaczyna się podniecać. Bał się jej, no jasne, ale nie przeszkadzało to jego fiutowi stanąć na baczność. Jezu, kurwa, Chryste.

– Umowa była jasna – powiedział.

– Oczywiście. A ty się z niej wywiązałeś. – Pauza. – Prawie.

– Czego chcesz? – powtórzył.

– Lubię zwycięzców. Doceniam ich. A ty jesteś zwycięzcą, Victorze. Moje gratulacje. Czas dzielący cię od północy przeminie bardzo szybko. Nie będziesz miał ochoty odebrać nagrody?

– Jakoś niespecjalnie. – Przymknął powieki, pod którymi natychmiast rozblęśla Nayhija, chętna, gotowa... naga. Szarpnął głową w tył i uderzył o zagłówek. Otworzył oczy i spojrzął na Jimmy’ego, który zapytał bezgłośnie: „Wszystko w porządku?”.

Skinął głową, mimo że nic nie było w porządku.

– Nie kłam, Victorze. – Głos Nayhiji wsączał mu się do ucha, zatruwając umysł ślepym, zwierzęcym pożądaniem. Nienawidził się za to, co czuł, ale nie był w stanie przestać tego czuć. – Wiesz, że umiem to poznać.

– Nie kłamię – zaproponował, poluźniając kołnierzyk. Było mu gorąco. Zaczynał się pocić.

– Ale zgrywasz świętoszka, którym nie jesteś. Te trzy trupy w FedExie jakoś gryzą się z tą wizją, nie sądzisz? A to tylko pula z jednego dnia. Ilu sztywnych masz na koncie, jeśli zsumujemy cały rok? Trzydziestu? Pięćdziesięciu?

– Odkładam słuchawkę – powiedział Victor, nie odrywając jej od ucha.

– Nie odkładasz. Nie chcesz.

Oczywiście, że chciał, a zarazem nie chciał – pierdolony paradoks przyprawiający o psychozę. Przez cały miesiąc wzbraniał się przed swoimi pragnieniami, a teraz, kiedy czas prawie się skończył, te pragnienia uderzyły go ze zwielokrotnioną siłą. Czy było w tym coś dziwnego? Bynajmniej. Wytrzymał tak długo, więc wytrzyma jeszcze trochę. Miał silny charakter. Kurewsko silny. Dlatego zaszedł tak daleko. I dlatego nie pęknie teraz przed tą dziwką.

– Myślisz, że się na to nabiorę?

– Nabierzesz? – powtórzyła Nayhija przewrotnie.

Victor prychnął.

– Kiepska jest ta twoja ostatnia sztuczka. Wydawało mi się, że stać cię na więcej. Ale skoro zawracasz mi głowę czymś takim...

– Sztuczki trwały tak długo, jak trwał kontrakt – wyjaśniła Nayhija. Jej głos doprowadzał go do obłędu. – A teraz, kiedy w zasadzie już go finalizujemy... Nie chciałbyś zobaczyć mnie po raz ostatni? Pocałować? Wypieprzyć?

Victor wciągnął powietrze z głośnym świstem. Policzył do pięciu, odpędził od siebie wizję Nayhiji szorującej pośladkami po jego udach i powiedział:

– Miło się gadało, ale jestem zajęty.

– Ścieraniem krwi z rąk i wracaniem do żony jako prawy obywatel?

– Jeżeli ją tkniesz...

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się śmiech.

– Czekam na ciebie w motelu Neto. Pokój sto dziewięć. Nie zawieźdź mnie – powiedziała Nayhija i przerwała połączenie.

Victor spojrział na słuchawkę z czymś w rodzaju pełnego fascynacji obrzydzenia, po czym odłożył ją na widelki. Odchylił się na oparcie fotela, przymknął oczy i przekalkulował wszystko w głowie. Mógłby pojechać, dlaczego nie? Dlaczego nie miałby się, do kurwy nędzy, zabawić? Odbić sobie za miesiąc tortur? Zanim dotrze do motelu, wybije północ. Nic mu nie groziło. Lucile o wielu sprawach nie wiedziała, a niewiedza nie była bolesna, nie mogła jej zranić. Ten wieczór będzie kolejną sprawą zamiecioną pod dywan, kolejną ze strefy szarości. Jak nagły przyptyw gotówki, skok w hierarchii społecznej czy pilne wyjazdy w środku nocy. Może trochę poważniejszą niż przesłuchanie na komisariacie, ale nie tak poważną jak wydanie wyroku na rodzinę Lupino. Czy to było w porządku? Jak najbardziej. Ponieważ miłość to nie zwierzanie się z mrocznych występków i utwierdzanie w przekonaniu, że wciąż – wbrew wszystkiemu i w głębi ducha – jest się tą kryształową osobą. Miłość to obciążanie swojego sumienia, byle tylko tej drugiej osobie żyło się łatwiej. Tak było, jest i będzie.

– Roger – klepnął kierowcę w ramię – zmiana planów, jedziemy do motelu Neto. Wiesz, gdzie to jest?

– Oczywiście, proszę pana.

2.

Motel należał do gatunku tych podłych, w jakich morduje się prostytutki – posępny prostokątny budynek z odrapanymi okiennicami, zepsutym neonem i parkingiem tonącym w półmroku. Victor przelotnie zerknął na stojącego obok niego Jimmy'ego, żeby przekonać się, czy myśli mniej więcej to samo.

– Szefie, może lepiej odpuścić? – zasugerował.

Victor posłał mu zimny uśmiech.

– Stawić czoło lękowi to pokonać ten lęk – powiedział.

– Proszę? – Jimmy zmarszczył brwi, spoglądając na czerwony neon w złowieszczym skupieniu; jedyną wciąż podświetlaną literą było przekrzywione „N”. – Neto to celtycki wojownik. Wiedział pan, szefie?

Victor z rezygnacją pokręcił głową.

– Nieważne. – Klepnął go w ramię. – Chodź, poczekasz na mnie w środku. To nie zajmie dużo czasu.

Jimmy wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale się rozmyślił. Posłusznie ruszył w ślad za Victorem. Jego kurtka szeleściła, ciężkie buty wybijały ponury rytm na wylanym betonem parkingu. Gdzieś w dali ryknęło jakieś zwierzę. Coś dużego.

Weszli do motelu, Jimmy pierwszy, z pistoletem w dłoni, Victor zaraz za nim. Przyglądał się szerokim plecami swojego pracownika, pozwalając sobie na szybką refleksję. Nie, żeby uważał Jimmy'ego za świra czy dziwaka, ale czasami... Czasami go przerażał. Wskakiwał z czymś takim jak ta rewelacja o Neto. Skąd on brał takie rzeczy? Był okultystą czy jak? Może trzeba będzie z nim pogadać? Do tej pory Victor nie miał do pracy Jimmy'ego najmniejszych zastrzeżeń, ale, co tu ukrywać, ludzie dziwaczeli. Obecny Jimmy mógł już nie być tym samym Jimmym co pięć lat temu. A może choroba Lucile jakoś na niego przepełzła i teraz to jemu coś wyżerało mózg? Victor aż się wzdrygnął na tę myśl. Niby niemożliwe, ale kto wie, na jakiej zasadzie Fundacja Mary leczyła ludzi. Sądząc po tym, co widział przez ostatni miesiąc, leczenie musiało być mocno niestandardowe.

Minęli recepcję, za którą wisiał plakat z filmu *El Mariachi*, przedstawiający mężczyznę z futerałem i karabinem, idącego po wiodącej przez pustynię drodze. Puste krzesło za kontuarem i niedojedzona kanapka na nim napępniały podobną trwogą, co niszczący front Neto. Jakby recepcjonista wyparował między jednym kęsem a drugim. Gdzieś w tle cicho grała muzyka – chyba Elvis – poza tym panowała tu niemal złowieszczą cisza. I jeszcze ten ostry zapach wiszący w powietrzu. Tak pachniała... siarka.

– Tamtędy. – Ruchem głowy Jimmy wskazał drzwi na końcu korytarza. Sig sauera trzymał uniesionego i gotowego do strzału; lufa zaśniła w świetle buczącej jarzeniówki.

Victor pomyślał, że to ostatnia szansa, żeby odwrócić się i wyjść. Zerknął na zegarek. Złote wskazówki rolexa pokazywały kwadrans po północy. W porządku, wszystko było w porządku. Kontrakt został sfinalizowany. Wygrał, był górą. Teraz mógł zabawić się z tą dziwką bez żadnych konsekwencji.

Tak ci się wydaje?

Ignorując podszepty intuicji, ruszył w głąb korytarza.

Wyminął Jimmy'ego i stanął przed drzwiami oznaczonymi numerem 109. Chwilę patrzył na wymalowane od szablonu czarne cyfry... i zaczął odnosić nieprzyjemne wrażenie, że się ruszają. Cofnął się o krok z gwałtownością człowieka, który został spoliczkowany.

– Szefie? – zapytał Jimmy.

Victor uniósł dłoń, dając mu znak, że wszystko jest w porządku. Bo było, prawda? Oczywiście, że tak. Dla pewności raz jeszcze zerknął na zegarek, upewniając się, że minęła północ. Pomyślał o doktorze Vasquezie z Tijuany, obiecującym, że eksperymentalna terapia, niedozwolona w Stanach, z pewnością pomoże Lucile, że ją wyleczy, ale błyskawicznie odpędził tę myśl. Była bez związku.

Zbliżył się do drzwi, zapukał, po czym nacisnął klamkę. Były otwarte.

– Nayhija? – zapytał, wchodząc do pokoju. Uderzył go znajomy zapach czegoś, jakby mroźnego wiatru. Orientując się, że Jimmy idzie za nim, odwrócił się i zagroził mu drogę wyprostowanym ramieniem. – Poczekaj na korytarzu – polecił.

Jimmy skinął głową i posłusznie wycofał się na zewnątrz.

– Nayhija? – powtórzył Victor, zamykając za sobą drzwi. W wątłym świetle nocnej lampki nie zobaczył wiele. Nie od razu.

– We własnej osobie. – Doleciało go z prawej.

Odwrócił głowę w tamtą stronę. Po kilku sekundach ruchome cienie przybrały znajomy kształt. Bardzo pociągający kształt. Nayhija, ubrana w krótką czarną sukienkę, siedziała na krześle ze skrzyżowanymi nogami. Niespiesznie kołysała stopą, bawiąc się do połowy zsuniętym z niej butem. Na biurku obok stała butelka whisky i dwie szklanki z rżniętego szkła.

– Pewnie chcesz mi się dokładniej przyjrzeć? – Nayhija pstryknęła palcami i równocześnie zapłonęły dwie kolejne lampki.

Victor postąpił krok w tył i uderzył plecami o drzwi. Widząc ją, piorunująco wyraźnie, oblaną jasnością ściennych lamp, na moment zapomniał o oddychaniu. Sukienka, oprócz tego, że nieprzyzwoicie krótka, miała głęboki dekolt. A Nayhija nie nosiła stanika. Tylko ten dziwaczny znaczek nad lewą piersią, coś jakby trójząb. Albo widły.

– Zabiłaś wszystkich, że tu tak cicho?

Nayhija odrzuciła na ramię pasmo długich ciemnych włosów. Jej zielone oczy płonęły w pięknej twarzy niczym szmaragdy. Ponętne usta rozchyłały się rozkosznie. Victor zaczął sobie wyobrażać, jakie to będzie uczucie, gdy obejmą jego fiuta, i poczuł, że zaczyna mu stawać. Czy było to problemem? Bynajmniej. Po to tu przyszedł. Dłuższą chwilę obmacywał wzrokiem piersi Nayhiji, zastanawiając się, czy w nie też jej nie zerznąć, a ona patrzyła na niego ze złośliwym uśmiechem... zupełnie jakby wiedziała, o czym myśli.

– Może wypijemy za twoje zwycięstwo? – zaproponowała.

Victor spróbował przełknąć ślinę i przekonał się, że gardło wyschło mu na wiór. Tyle że strach nie miał z tym nic wspólnego. To było rosnące w siłę podniecenie. Chciał Nayhiji, pragnął Nayhiji i wiedział, że ją dostanie. Wprawdzie nigdy wcześniej nie zrobił czegoś podobnego Lucile i był przekonany, że nigdy nie zrobi, jednak teraz, tej nocy... hamulce nie istniały.

– Drink mi nie zaszkodzi... – Spojrzał na nią podejrzliwie. – O ile niczego tam nie dosypałaś.

Nayhija zaśmiała się chrypliwie.

– Otrucie? – Uniosła ciemną brew. – Myślisz, że tylko na tyle mnie stać?

Wstała, otworzyła butelkę i wlała whisky do szklanek. Victor powoli podszedł do niej, rzucając oczami na boki. Podwójne łóżko przykryte musztardową narzutą zajmowało centralną część niewielkiego pokoju, okna wychodziły na opustoszały parking. Kalendarz na ścianie upierał się, że jest sierpień, choć w istocie był już wrzesień. Dobrze, że chociaż rok się zgadzał – 1993.

Victor zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła. Teraz, gdy stał w perwersyjnie bliskiej odległości od kobiety, którą znał i o której fantazjował od trzydziestu dni, niemal kręciło mu się w głowie. Czuł jej zniewalający zapach oraz ten drugi, równie przyjemny, kryjący się pod nim – zapach mroźnego wiatru. Była wszystkim, czego pożądał. Olśniewająca, zmysłowa, zachwycająco piękna, zuchwała. Jej skóra była idealnie gładka, bez śladu najmniejszej nierówności czy skazy; widział to bardzo wyraźnie. Jędrne ciało emanowało żądzą, wołało go, zachęcało, by je posiadał.

– Proszę. – Nayhija podała mu szklankę. – Do dna.

– Do dna – przytaknął, stukając swoją szklanką o jej szklankę. Począł, aż Nayhija się napije, po czym łączywie wlał w siebie alkohol. Chłonał jego palące ciepło, delektował się ogniem, który spływał do żołądka. Tego było mu trzeba.

Nayhija wzięła od niego pustą szklankę i zapytała:

– Jeszcze jednego?

Victor się zastanowił, zawieszając wzrok na jej sutkach, sterczących pod cienkim materiałem sukienki.

– Nie, dzięki – powiedział.

Przysunęła się do niego. Ujęła jego twarz w dłonie i zaczęła gładzić. Jej dotyk miał w sobie szczególną elektryczność, porażał zakończenia nerwowe najczystsza rozkoszą.

– Mówiłam, że spełnię każdą twoją fantazję, zaspokoję każde pragnienie... A ty tak długo się wzbraniałeś. – Musnęła koniuszkiem języka jego wargi. – To chwalebne, Victorze.

Sapnął. Przesunął dłońmi po jej ciele. Zadarł z niej sukienkę i przekonał się, że nie nosiła bielizny. Na to odkrycie jego penis stwardniał tak bardzo, że prawie zabołało. Chyba jeszcze żadna kobieta nie wzbudzała w nim takich emocji. Tak skrajnych, tak silnych, że mogły odebrać rozum.

Przyciągnął Nayhiję i łączywie wpił się w jej usta. Smakowała niedawno wypitym alkoholem, słodyczą i czystym grzechem. Smakowała jak kurewski raj.

W Tijuanie też piliście whisky. Ale w Tijuanie jest... inaczej. Czas płynie tam inaczej.

Nayhija zaczęła masować jego członka przez spodnie. Wszelkie myśli wyparowały mu z głowy, władzę przejmowały instynkty. Całował ją z głodną niecierpliwością, kierując ich w stronę łóżka. Przystanął, oderwał się od jej ust i przez chwilę sycił oczy widokiem nagiego ciała. Palcami prawej dłoni przesunął po jej piersi i niżej, po brzuchu, zatrzymując się w wilgotnym zagłębieniu między nogami. Nayhija mruknęła, gdy wsunął w nią dwa palce. Poruszył nimi, nasadą dłoni muskając łechtaczkę i cofnął rękę.

Czas... płynie inaczej.

Czas... przestaje mieć znaczenie.

Patrzył na gorączkowy blask, który malował się w jej oczach. Wsłuchiwał się w jej przyspieszony oddech. Pochylił się i ugryzł ją w sutek. Jęknęła. Podobało jej się to. Była na niego tak samo napalona jak on na nią. Ta świadomość dodatkowo go nakręciła. Pchnął ją na łóżko, rozebrał się pospiesznie i wpełzł na nią. Nayhija wplotła mu palce we włosy i odrzuciła głowę do tyłu, podczas gdy on całował jej szyję, następnie piersi. Chciał zerznąć ją szybko, ale zarazem chciał przeciągać tę chwilę, wiedząc, że ta noc już się nie powtórzy.

– Zrób ze mną wszystko – zachęciła. Policzki miała zaróżowione, zmierzwiłone włosy opadały jej na oko. Wyglądała jak królowa. Jak bogini.

Tak pięknie jak w Tijuanie.

Zsunął się między jej nogi, rozchylił uda zdecydowanym szarpnięciem i posmakował jej. Nayhija podparła się na rękach, wydając przy tym niecierpliwy pomruk. Chciała tego, tej nocy należała wyłącznie do niego. Przytrzymał ją za biodra i zaczął lizać. Wdzierał się w nią językiem, odnajdywał najczulsze punkty, pieprzył dokładnie tak jak w śnionych na jawie snach. Nayhija wiała się pod nim, błagała o więcej, prosiła, żeby nie przestawał. I nie przestał, dopóki nie doszła, krzycząc i zaciskając palce na narzucie. Podobała mu się taka, odurzona orgazmem, spragniona kolejnych doznań.

Uklęknął z kolanami po obu stronach jej smukłych nóg. Podziwiał ją, jak myśliwy podziwiał zdobycz, górował nad nią, był jej panem.

– Zaczynj się nimi bawić – polecił, kiwnięciem brody wskazując jej piersi.

Nayhija ujęła je w dłonie. Kciukami zaczęła pocierać sutki, patrząc mu przy tym prosto w oczy, bezczelnie, prowokująco. Victor podniósł się i zawisł przed nią, jedną ręką masując sterczącego penisa. Jeszcze chwilę patrzył na Nayhiję, po czym stanął nad nią okrakiem i włożył jej penisa do ust. Chciwie objęła go wargami i zaczęła ssać.

Przymknął powieki i odchylił głowę. Wyraźnie czuł pieszczotę jej języka oraz wzbierające podniecenie. Robiła to z niebywałą finezją, doprowadzając go na krawędź rozkoszy, zupełnie jakby faktycznie potrafiła odczytać jego myśli, wyłowić z nich najgłębiej skrywane pragnienia. Była doskonała, była grzechem, który chciał popełniać co noc.

– Trzymaj się za nie – warknął i wysunął się z jej ust. Opadł niżej i wcisnął członka między jej piersi.

Mruczała, kiedy posuwał ją w ten sposób. Wysuwała język i wyciągała szyję, starając się dosięgnąć czubka penisa. Victor zwiększył tempo, powoli zatracając się w ekstazie. Podobało jej się to, co z nią robił, i wiedział, że pozwoli mu na wszystko. Była dziwką idealną. Była jego dziwką.

Wycofał się, ścisnął Nayhiję za pierś i powiedział:

– Odwróć się.

Podniosła się leniwie. Zawiesiła twarz na wysokości jego nabrzmiałego penisa, zrobiła ruch, jakby chciała się odwrócić... i włożyła go sobie do ust. Głęboko. Palcami jednej ręki zaczęła pieścić jądra, paznokciami drugiej przeszorowała Victorowi po udzie. Syknął, po czym pociągnął ją za włosy.

– Odwracaj się – powtórzył. – I wypnij się. Dla mnie.

Kiedy zrobiła, co kazał, dopadł do niej, ścisnął za biodra i wtargnął w nią gwałtownie. Krzyknęła, a on zaczął rżnąć ją bez opamiętania. Była ciasna i wilgotna, taka, jaka powinna być. Może dlatego, że tyle czasu się jej opierał, a może dlatego, że Nayhija była Nayhiją, ale tego, co w tej chwili czuł, nie dało się porównać z niczym. Za coś takiego warto było zabijać. Za coś takiego warto było umierać.

– Podoba ci się to, suko? – zapytał i pchnął z całej siły.

Odpowiedzią Nayhiji było rozciągnięte „taaaaak!”.

Dopasowała się do rytmu, jaki wyznaczał, rękoma oparła o zagłówek łóżka, żeby zachować równowagę. Zmięta narzuta zsunęła się pod skosem, ukazując tanią białą pościel. Krzyki Nayhiji mieszały się z jego jękami. Czy krzyczała z przyjemności, czy z bólu – nie dbał o to. Już nie. Teraz liczyło się tylko jego spełnienie. A to nadchodziło z siłą huraganu.

Czując, że jest na granicy, zmusił się, żeby się z niej wycofać. Rozchylił jej pośladki i przez chwilę wodził między nimi czubkiem penisa, następnie wbił się w jej drugą dziurkę. Nayhija wydała z siebie gardłowy pomruk, jej plecy się wyprężyły. Kątem oka Victor dostrzegł, że wsuwa sobie dłoń między nogi i zaczyna się pieścić.

– Tak też ci się podoba?

– Mhmm.

– Pytałem, czy tak też ci się podoba?

– Tak! Tak!

Pchnął jeszcze kilka razy i zatracił się w zalewającej go rozkoszy. Doszedł, wyjąc jak zwierzę. Jego ciałem wstrząsnął spazm, po czym opadł na Nayhiję, ciężko dysząc. Wysunął się z niej powoli, walcząc z zawrotami głowy i słabością nóg.

– Jesteś kurewsko niesamowita – pochwalił ją i klepnął w pośladek.

Nayhija posłała mu zagadkowy uśmiezek. Z gracją opadła na łóżko i wsparła się na łokciu. Grzywa zmierzwionych włosów okalała jej twarz, krótsze pasmo zadziornie przesłaniało oko. Obserwowała go z czujnością i chciwością drapieżnika. Pewnie miała ochotę na więcej.

Victor wstał i podszedł do biurka.

– Chcesz? – zapytał, unosząc butelkę.

Pokręciła głową. Przypatrywała mu się ze złośliwym rozbawieniem, a jemu przestawało się to podobać. Napełnił szklankę niemal po brzegi i wlał w siebie whisky. Paliła, ale już mniej niż poprzednio. Jakby była zwietrzała. A może to on, to z nim coś się...

– Mówiłam, żebyś przeczytał kontrakt bardzo dokładnie, Victorze – odezwała się Nayhija. Jej głos, wcześniej namiętny, teraz brzmiał pogardą i chłodem. – Zwłaszcza to, co było zapisane drobnym druczkiem. Nie zrobiłeś tego. Szkoda.

Victor raz jeszcze napełnił szklankę, wypił jej zawartość dwoma łykami i odstawił z trzaskiem.

– Proszę?

– Gdybyś to zrobił... – ciągnęła Nayhija, wodząc palcami po prześcieradle. Przez jedną krótką chwilę Victor odniósł wrażenie, że do wysokości drugiego stawu są poczerniałe, jak gdyby unurzane były w sadzy, paznokcie zaś wydłużają się i również przybierają smoliście czarną barwę. – ...wiedziałbyś, że strefa czasowa, w której kontakt został podpisany, ma decydujące znaczenie.

– Strefa... czasowa... – powtórzył zdrętwiałymi wargami. Jego bladobłękitne oczy rozszerzył szok. Drżącą ręką sięgnął po butelkę i ponownie napełnił szklankę. Wypił whisky, niemal nie czując jej smaku. Nie pomogło. Nic a nic.

Usta Nayhiji rozciągnął uśmiech. Drapieżny, ukazujący zbyt wiele zębów.

– Różnica czasu przemawia na twoją niekorzyść – powiedziała. – Tu, czterdzieści kilometrów od Trenton, jest kwadrans po pierwszej w nocy, ale w Tijuanie...

– Jest trzy godziny wcześniej – wyszeptał, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. Przeciągnął dłońmi po włosach. Kurwa, jak mógł o tym zapomnieć?!

– Dopuszciles się zdrady, zanim wybiła północ trzydziestego dnia, nie dotrzymując tym samym warunków kontraktu. Przykre.

– Nie... Ja nie...

– Wygląda na to, że przegrałeś, Victorze. – Nayhija udała zasmuconą. – Mam nadzieję, że pocałowałeś żonę na pożegnanie.

– To niemożliwe – powiedział, kręcąc głową w geście beznadziejnego zaprzeczenia. – To nieprawda!

– Prawda jest prawdą do końca czasu, jak powiedział Szekspir – odparowała i zaczęła się śmiać.

Ten śmiech przesądził o wszystkim. Victor wpadł w szal. Skoczył na nią, złapał za włosy i z całej siły uderzył pięścią w twarz. Głowa Nayhiji przetoczyła się na drugie ramię, z pękniętej dolnej wargi popłynęła krew. Victor patrzył na skapującą na brodę szkarłatną stróżkę, jak gdyby nagle doznał objawienia.

– Potwory też krwawią – szepnął.

I raptem zacisnął dłonie na gardle Nayhiji.

Jej oczy rozszerzyło przerażenie. Wyrzuciła ręce w górę, następnie zaczęła orać pazurami grzbiety jego dłoni. Drapała mu skórę do krwi, ale on nie zwalniał uścisku; przeciwnie, wzmacniał go. Próbowwała zerwać jego ręce ze swojej szyi, złapać kolejny, zbawienny haust powietrza, ale nie była w stanie. Victor był silniejszy. Siedział na niej, przygniatając swym ciężarem. Jej nogi były o materac, białka oczu nabiegały krwią. Patrzył, jak wychodzą z orbit, podczas gdy wargi siniały.

Naparł na nią mocniej. Z fascynacją obserwował, jak ulatuje z niej życie. Otwierała i zamykała usta, upodabniając się do wyrzuconej z akwarium ryby. Jej twarz szarzała, ruchy stawały się coraz mniej zapalczywe. Przeszorowała mu paznokciami po dłoniach ostatni raz, wierzgnęła... i raptem jej ręce zsunęły się bezwładnie. Znieruchomiałym, szklistym spojrzeniem nie patrzyła na niego, ale gdzieś przez niego. Nie oddychała. Nie żyła.

Dla pewności Victor jeszcze chwilę zaciskał ręce na jej gardle. Czuł, jak zmiażdżona krtań ustępuje pod naciskiem jego palców z mdlącym chrupotem. Oderwał

jedną dłoń i uderzył Nayhiję w twarz, ciekaw jej reakcji. Żadnej nie było, a w każdym razie nie takiej, jakiej się podświadomie spodziewał. Głowa przesunęła się w bok i tak została. To wszystko.

Spełził z niej, pozbierał ubrania z podłogi i włożył je pośpiesznie na siebie. Przyglądał jasne włosy, które ściemniały od potu, po czym wypadł na korytarz. Jimmy stał z zaplecionymi przed sobą rękami i półprzymkniętymi powiekami, jakby się modlił. Może do celtyckiego wojownika Neto, a może do innego gówna. Nie zareagował nawet na dźwięk otwieranych drzwi.

– Jimmy. – Victor trącił go palcem w ramię. – Chcesz się zabawić?

Mężczyzna spojrział na niego z przebiegłym zainteresowaniem.

– Może.

Victor ruchem głowy wskazał pokój.

– Nie rusza się, ale dla ciebie to chyba nie problem, co? – ciągnął.

Jimmy zaśmiał się głucho.

– A potem, szefie?

– A potem spal tę budę do fundamentów. Będę czekał w wozie.

3.

Gdzieś w górze zahuczała sowa, następnie dało się słyszeć szmer rozpościeranych skrzydeł. Sowa poderwała się do lotu i wzbiła w atramentowy granat strzelistego nieba. Nayhija odprowadziła ją spojrzeniem, następnie przetoczyła głowę z lewego ramienia na prawe. Ściągnęła w szyi zatrzęszczały; odcisk dłoni jeszcze chwilę majaczył na skórze, tracąc na wyrazistości, po czym zniknął zupełnie.

Odwróciła się i spojrzała na dopalające się zgliszczka motelu. Jej wargi wykrzywił pogardliwy grymas. Postawiła kołnierz kurtki – grobowo czarnej, tak samo jak spodnie i buty – i ruszyła przed siebie sprężystym krokiem. Na podszewce nad lewą piersią miała wyszyty niewielki czerwony znaczek, trójząb albo widły, ludzie nigdy nie byli pewni, na co właściwie patrzą. Noc była chłodna jak na wrzesień, ale dla niej nie robiło to różnicy. Czowała wyłącznie chłód. Od nieskończenie długiego czasu.

Szła pogrążona w myślach, coraz bardziej oddalając się od wzniesionych ludzką ręką zabudowań. Księżyc świecił wysoko na niebie, podobny do srebrnej czaszki,

tysiące gwiazd migotało wokół niego, kojarząc się z drogimi kamieniami naszytymi na aksamit. Kiedyś wierzono, że drogic kamienie są przeklęte, że zwiastują zgubę; tej nocy zwiastowały ją niewątpliwie. Powietrze było rześkie, tu, z dala od zgiełku miasta, smakowało słodyczą. Szkoda, że takich miejsc było coraz mniej. Szkoda, że chciwi, opętani żądzą posiadania ludzie chcieli wszystko zniszczyć, podporządkować sobie żywoły, o których nie mieli pojęcia.

Skręciła z chodnika i weszła w wysoką trawę. Źdźbła szorowały o długie buty z westchnieniem aprobaty; wiedziały, dokąd i po co idzie. Większe i mniejsze zwierzęta wyczuwały ją, niektóre decydowały się dotrzymać jej towarzystwa. One również wiedziały. Rozumiały.

Szła tropem potwora.

Nie lubiła kategoryzować ani doczepiać ludziom łatek – nienawidziła ich wszystkich jednakowo – ale Victor Pine należał do jednego z tych bardziej odpychających typów. Zwłaszcza jego pojęcie miłości odpychało.

– Miłość – prychnęła Nayhija i prawie się zaśmiała. – Nie ma czegoś takiego.

Część ludzi zdawała się podzielać ten pogląd, druga wołała utwierdzać się we własnej iluzji. Może niektórzy naprawdę wierzyli w to, co mówili, lecz większość nie miała nic konkretnego na myśli, niezdolna pojąć wagi zaklętej w tej deklaracji. Jednak wszyscy bez wyjątku wykorzystywali słowa „kocham cię”, robiąc z nich najbardziej zabójczą, najdoskonalszą broń. Słusznie. Ta broń raniła najgłębiej, wrywała dziury w duszy. Dawno temu, w innym życiu, Jasper był taką bronią. W tym to ona nią była. Potworem polującym na inne potwory.

Przeszła przez ciemny las, pełen przypatrujących się jej stworzeń, i wyszła na wąską drogę. Minał ją pikap ze zbitym lewym reflektorem, nawet nie zwalniając. Obejrzała się za nim, przywołując z pamięci wycieczkę do lasu, jaką zafundowała trzem potworom, od których wszystko się zaczęło. Podobnie jak wtedy, również teraz wychwyciła czyjąś mętną obecność. Pośród wpatrzonych w nią ślepi dzikich zwierząt znajdowała się najgroźniejsza z bestii. Jej opiekun i wybawca.

Wspięła się na szczyt wzgórza i zobaczyła światła miasta. Rozcinały ciemność żółtymi i pomarańczowymi snopami. Uśmiechnęła się okrutnym uśmiechem, który

ukazał zbyt wiele zębów. Poczerniałymi do drugiego stawu palcami przebierała przy biodrach jak szykujący się do pojedynku rewolwerowiec.

Był tam. Wyczuwała go.

Jego zło.

Coś w tyle zaszeleściło. Rozległ się odgłos łamanej gałązki. Zdziczały pies pyskiem trącił jej nogę. Nayhija posłała mu senny uśmiech i delikatnie poklepała go po łbie.

– Chodź – powiedziała. – Czas się trochę zabawić.

4.

Jednostajny warkot silnika działał usypiająco, ale Victor chyba jeszcze nigdy nie czuł się mniej senny niż teraz. Spoglądał na szybę, na której wyraźnie widział odbicie pozbawionej wyrazu twarzy Johnny'ego. Wyglądała jak pierdolona maska, próżno było odgadnąć, jakie emocje kłębią się pod łysą czaszką. O ile w ogóle jakieś były. On natomiast, mimo wlanego w siebie alkoholu, odczuwał rosnący w siłę niepokój. Czy tak zaczynała się paranoja? Możliwe.

Przyjrzał się grzbietom swoich dłoni. Skóra była paskudnie poorana. Rany nie były głębokie, jednak strasznie piekły. Co powie Lucile na ich widok? Pewnie nic. Nauczyła się, że pewnych pytań nie należy zadawać. No a gdyby nawet... Victor wyjaśni jej, że podrapał go kot albo bezdomny gówniarz. Kochać to chronić, tak od niebezpieczeństwa, jak i od niewygodnej prawdy.

Po to pojechałeś do Tijuany? Żeby ją ochronić? A może intuicyjnie wyczuwałeś, że spotkasz tam istotę, którą będziesz chciał wypieprzyć ponad wszelką miarę? Myślisz, że będziesz o niej fantazjował, kochając się z żoną? Jak sądzisz, będzie ci stawał na wspomnienie tego, jak ją dusiłeś?

– Zatrzymaj się – polecił. – Muszę się przewietrzyć.

Kierowca zatrzymał mercedesa i zaciągnął ręczny.

– Czy mam tu zaczekać, proszę pana? – zapytał.

– Tak – odparł Victor.

Sięgnął do schowka za podłokietnikiem, wyjął z niego rewolwer, sprawdził magazynek, po czym schował do kieszeni płaszcz; ostrożny człowiek, to bezpieczny

człowiek. Otworzył drzwi, wystawił jedną nogę na zewnątrz i usłyszał, że Johnny również wysiada.

– Będę szedł za panem, szefie – powiedział. – Nigdy nic nie wiadomo.

Paranoja, jeśli Victor faktycznie zaczął w nią popadać, była, jak widać, zaraźliwa.

– W porządku – mruknął. Ciaśniej otulił się płaszczem i ruszył przed siebie.

Rześkie powietrze przyjemnie chłodziło skórę, pomagało segregować myśli. A mimo wszystko... gdzieś pośród cieni czaiła się lepka groza. Byli na przedmieściach jakiejś podrzędnej dziury, nie pamiętał nawet jej nazwy i wcale nie chciał pamiętać. Pasaż handlowy, wzdłuż którego szli, był niezgrabnym kłocem z chromu, betonu i szkła. TU SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA – przekonywał napis nad głównym wejściem. Victor bardzo w to wątpił.

Witryny sklepów wyglądały na wymarłe. Wyjątkiem był sklep z elektroniką – ustawione jeden na drugim telewizory atakowały feerią migających rozbłysków. Plamy niebieskiego i białego światła kładły się na chodnik, poruszając się w rytm nadawanego na MTV teledysku. Akurat rapował jakiś czarnuch. Victor rzucił wzgardliwe spojrzenie ekranom mnożącym jego twarz i ruszył przed siebie. Jimmy podążał mniej więcej dwa metry za nim, milczący, skupiony.

Odwrócił się, chcąc się upewnić, że mercedes wciąż stoi na swoim miejscu. Stał. Roger nie postanowił nigdzie odjechać, to tylko paranoja Victora rosła w siłę. Jedyne dźwiękami pośród panującej ciszy były miarowe odgłosy kroków, zawroźnienie wiatru i serce Victora łomoczące w piersi. Rozglądał się nerwowo, coraz bardziej przekonany, że zbliżające się cienie widziane kątem oka nie są urojeniem, lecz rzeczywistością. To wyrzuty sumienia? Alkohol? Czy może...

Stał jak wryty, wybałuszając oczy.

– Jimmy?! – ryknął. – Co ty robisz, do kurwy nędzy?!

Jimmy wyszczerzył się w trupim uśmiechu. Sig sauer lśnił w jego dłoni, wycelowany prosto w głowę Victora. Jakim cudem znalazł się na końcu ulicy, dobrych sześć metrów przed nim, mimo że jeszcze ułamek sekundy temu szedł z tyłu? Czyżby Victor tak głęboko się zamyślił, że stracił poczucie czasu?

Nonsens.

– Opuść to! – Machnięciem brody wskazał pistolet. Powoli wsunął rękę do kieszeni płaszcza i wyszarpnął rewolwer. – Opuść albo cię rozwalę!

– Nie, szefie! – zawył Jimmy, nie przestając się szczyrzyć. Oszalał. A więc jednak skurwiel oszalał. – Co pan robi?!

– Co ja robię?! – Victor odniósł nieprzyjemne wrażenie, że zaraz zacznie wrzeszczeć i się śmiać. Prawdopodobnie jednocześnie. – Kurwa, Jimmy, przestań się zgrywać!

Jimmy pokręcił głową, tak jak czynią to ludzie rozbawieni czyimś żartem, i ruszył na Victora. Zrobił całe trzy kroki, zanim noc rozerwał pierwszy strzał. Kula trafiła go w bok. Jimmym szarpnęło w tył. Zatoczył się, ale nie upadł. Victor oddał kolejny strzał, trafiając w klatkę piersiową. Jimmy znów się zatoczył, tak mocno, że wydawało się, że tym razem na pewno upadnie, ale jakoś udało mu się zachować równowagę. Niebawem. Ręka, w której trzymał się sauera, drżała, ale ponownie zaczęła się unosić. Victor oddał trzeci strzał, wydając przy tym gromki ryk. Pocisk wszedł w czaszkę tuż nad lewym okiem i wyszedł tyłem w wachlarzu krwi i bryzgających tkanek. Jimmy jeszcze chwilę stał tak, z wytrzeszczonymi oczami i otwartą buzią, po czym zwałił się na ziemię.

A Victor usłyszał rumor jego upadku tuż za sobą.

Odwrócił się z wyciągniętą przed siebie bronią i zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Jimmy leżał przed nim w kałuży krwi. Ten sam Jimmy, którego zastrzelił kilka metrów dalej. Pistolet wysunął mu się z dłoni i spoczywał obok, powoli tonąc w szkarłacie; w mętym świetle latarni wyglądał jak zabawka.

– Co, do kurwy?! – zawył, odskakując od ciała.

Spojrzał w miejsce, gdzie powinien leżeć ten drugi Jimmy, ale nikogo tam nie zobaczył.

– Niespodzianka! – Usłyszał za sobą i równocześnie poczuł silne szarpnięcie.

Czyjaś dłoń chwyciła go za rękę z rewolwerem i skierowała ją w dół. Obce palce zacisnęły się na jego palcach, zamkniętych na spuście. Rozległ się ogłuszający huk, jeden, zaraz po nim drugi. Kwiat ognia wykwitł z lufy, snopy iskier z uderzających o beton kul wzbily się w powietrze. Victor zaczął się drzeć. Oślepienie powidokiem

wystrzału oczy nie widziały wiele. Czuł ostry zapach kordytu, zmieszany z mdlą wonią krwi i jeszcze coś... jakby zapach mroźnego wiatru.

– Ty...?!

– Dobranoc, Victorze – powiedziała Nayhija pogodnie. Zamachnęła się i uderzyła go głową prosto w twarz.

Rozległ się mdlący chrupot łamanego nosa.

Następnie na Victora opadła ciemność.

5.

Nayhija przypatrywała się Victorowi z chłodnym zaciekawieniem badacza. Z tak bliskiej odległości dokładnie widziała siateczkę drobnych zmarszczek okalających oczy oraz pierwsze siwe włosy na skroniach. Czuła również jego zapach, mieszaninę strachu i zepsucia. U wylotu ulicy zgromadziło się kilka bezpańskich psów, jeden potężny jak wilk i dwa mniejsze. One także patrzyły. Były widzami. Świadcami. Sędziami.

Victor jęknął. Z wyraźnym trudem uniósł głowę. Zatrzepotał powiekami i po paru sekundach je podniósł. Otarł krew z rozbitego nosa i ze zdziwieniem spojrzął na swoją rękę.

– Potwory też krwawią – powiedziała Nayhija. Pochyliła się nad nim z dłońmi wspartymi nad kolanami. Jej wargi rozciągnął okrutny uśmiech.

Oczy Victora rosły i rosły, napelniając się przerażeniem.

– To... tylko sen... To tylko mi się śni – wybełkotał.

Uśmiech Nayhiji się poszerzył.

– Raczej koszmar – poprawiła.

Victor odpełził od niej i uderzył głową w metalowy słup.

– Kurwa – syknął. Ostrożnie dotknął potylicy, następnie rozmasował obolałe miejsce.

Nayhija mogłaby mu powiedzieć, że dopiero za moment pokaże, czym jest prawdziwy ból, ale nie zadała sobie fatygi. Stała tylko, spoglądając na niego w milczeniu. Skrzyżowała ręce na piersiach, ciekawa, co zrobi. Bo to, że coś zrobić jednak zamierzał, było oczywiste. Tacy jak on nie oddają tanio skóry.

Odwróciła wzrok, chcąc go ośmielić, sprowokować. Victor łypnął na nią chytrze, następnie spróbował rzucić się w bok, w kierunku broni. Nayhija jednak była szybsza. Przydepnęła mu dłoń, po czym kopnięciem posłała rewolwer poza zasięg jego rąk.

– Żadnego strzelania. Mógłbyś zrobić krzywdę pieskom.

Przez chwilę Victor wyglądał, jakby rozważał, czyby nie zaryzykować i nie spróbować sięgnąć po sig sauera świętej pamięci Jimmy’ego, ale się rozmyślił. Zdaje się, że zaczynał rozumieć swoje rozpaczliwe położenie. Oskarżycielsko wymierzył w nią palec i zawołał:

– Ty... Ty nie żyjesz! Nie żyjesz, dziwko!

Nayhija odrzuciła głowę i zaczęła się śmiać nieprzyjemnym śmiechem, który brzmiał jak wybijanie okien w nawiedzonym domu.

– Ale wciąż tu jestem. – Puściła do niego oko. – To taki rodzaj magii.

Jeden z psów, ten największy, zadarł łeb i zawył do księżyca, jak prawdziwy wilk. Nayhija spojrzała na niego, a Victor, wierząc naiwnie, że oto trafiła mu się szansa, niezgrabnie poderwał się na nogi i puścił biegiem przed siebie. Pozwoliła mu odbiec kilka metrów, wzmacniając w nim przekonanie, że naprawdę może mu się udać wyjść z tego cało, po czym ruszyła za nim.

Dogoniła go z dziecinną łatwością.

Zacisnęła palce na kołnierzu jego drogiego płaszcza i szarpnęła w tył. Victor pisnął i zwałił się na ziemię. Impet upadku na moment wybił mu powietrze z płuc. Leżał na plecach, przebierając nogami w górze, upodabniając się tym samym do chrabąszcza.

– Śpieszysz się dokądś? – zapytała.

– Załatwię cię, dziwko! – warknął w odpowiedzi. Zamachnął się, chcąc ją kopnąć, ale uchyliła się i jego noga ze świstem przecięła powietrze. Spróbował wstać, ale nadział się na przeszkodę w postaci stopy obutej w długi but. Gdy przydepnęła mu pierś, wydał z siebie zduszone *oughh*, które przeszło w kaszel.

– Coś mówiłeś? – Nayhija zmrużyła oczy i teatralnie przyłożyła rękę do ucha.

– Załatwię cię – powtórzył z uporem, rzucając jej mściwe spojrzenie. – Raz już to zrobiłem i zrobię znowu.

Mocniej docisnęła but. Gruba podeszwa zaczęła wbijać się w ciało, gniotąc żebra i płuca pod nimi. Oddech Victora stał się świszczący.

– Tak sądzisz? – Cofnęła nogę i równocześnie jej ręce wystrzeliły do przodu. Szarpnęła Victora za kłapy płaszcza i postawiła go do pionu.

Zamierzył się na nią, spróbował uderzyć, ale chybił.

– Pudło – powiedziała radośnie. Wzmocniła chwyt, okręciła Victora i rzuciła na witrynę sklepu muzycznego. Przeleciał parę metrów, rękoma młócąc powietrze, wydając z siebie niestosowny kobiecy krzyk.

Szyba poddała się z melodyjnym brzdękami. Victor wleciał do środka i gruchnął o, sądząc po odgłosie, stos kompaktów. Zawył rozpaczliwie i Nayhija zrozumiała, że odłamki szkła musiały go poharatać. Oby nie za mocno. Nie chciała, żeby po prostu się wykrwawił i umarł. Nie. Jeszcze nie.

Księżyc na moment skrył się za chmurą, po czym pokazał się znowu, zalewając pasaż handlowy widmowym blaskiem. Nayhija przekrzywiła głowę na podobieństwo psów obserwujących wszystko z pewnej odległości i nasłuchiwała. Rumor zwalających się kompaktów – to Victor roztrącił kolejny misternie ułożony stos – stłumione przekleństwo i wreszcie oddalające się kroki.

– Obawiam się, że tylne drzwi są zamknięte! – zawołała uczynnie.

Odpowiedziało jej milczenie.

Chwilę później kroki powróciły. Zbliżały się. Umilkły, przeszły w dzwoniący stukot, znów wróciły i zaraz Victor pokazał się w zrujnowanej witrynie. Z dolną połową twarzy umazaną krwią, która w świetle gwiazd zdawała się być czarna, przekrzywionym nosem i potarganymi włosami wyglądał jak oszalały skandynawski bóg. Wybił nogą co większe odłamki szkła i wyszedł na chodnik. Prawą rękę trzymał nieco za sobą. Była nienaturalnie sztywna.

Zszedł z chodnika, rozejrzał się, próżno wypatrując jakiegoś przechodnia i wyszedł na ulicę. Głowę trzymał lekko opuszczoną, jak szarżujący byk. Poły płaszcza, teraz przybrudzonego krwią, łopotały mu wzdłuż boków. Szedł prosto na Nayhiję, nie spuszczając jej z oczu, a ona nie wykonywała żadnego ruchu. Czekala. Nie sztuką jest pokonać przeciwnika w pierwszej rundzie, zwycięstwo na punkty też raczej nie należy do szczególnie satysfakcjonujących. Sztuka polega na tym, żeby pozwolić mu uwierzyć we własne szczęście, potem odzierać go z niego kawałeczek po kawałeczku, na koniec zaś z impetem powalić na deski.

Kiedy był niespełna metr od Nayhiji, jego prawa ręka wystrzeliła w górę. Lewa złapała ją za ramię, uniemożliwiając ucieczkę. Ale ona i tak nie zamierzała uciekać. Chciała, żeby zaprezentował swoje zło w pełnej krasie. Łom opadł na jej twarz z głuchym gruchnięciem, łamiąc kość policzkową. Nayhija właściwie nie poczuła bólu. Przy tym, który zadał jej Jasper, ten zdawał się być wręcz pieszczotą.

Po drugim uderzeniu osunęła się na kolana. Victor pochylił się nad nią i uderzał raz za razem, jak w amoku. Był opętany żądzą krwi, zaślepiony wizją zemsty. Twarz Nayhiji właściwie nie przypominała już twarzy – zmieniła się w krwawą masę. Jedno oko się zamknęło, drugie zalała chora czerwień. Dolna warga naderwała się i wisiała na brodzie. Mimo to Victor nie przestawał jej tłuc.

Zamierzył się do kolejnego ciosu, mocno odchylając rękę. Opuścił ją i kiedy łom był kilka centymetrów od tego, co do niedawna było twarzą Nayhiji, ta złapała jego okrwawiony koniec. Oczy Victora rozszerzyło zdumienie. Spróbował cofnąć rękę, ale nie był w stanie. Puścić łomu też nie. Zupełnie jakby skóra przymarzła do metalu. Nayhija powoli podniosła głowę, a z gardła Victora wyrwał się urywany krzyk. Z paniczną niewiarą patrzył na jej twarz, piękną, nienaruszoną, bez śladu choćby zadrapania.

– Co...? Nie... Jak ty...?! – wystękał.

Jej wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Czubkiem języka zlizwała krew z zębów.

– Wiesz... To nie moją nienawiść wyczuwają – powiedziała, kiwając głową w stronę przypatrujących się im psów. – Tylko ból.

Victor szarpnął ramieniem, próżno próbując oderwać dłoń od łomu.

– Zaraz zadam ci ból!

Nayhija pokręciła głową.

– Nie, ty nie jesteś w stanie. Ale ja tobie owszem.

Wstała i pociągnęła łom w swoją stronę. Victor poleciał wraz z nim i nadział się na zgiętą w kolanie nogę Nayhiji. Wbiła się w jego brzuch, prowokując kolejny atak kaszlu.

– Paskudnie brzmi – stwierdziła Nayhija. – Byłeś z tym u lekarza?

Szarpnęła łomem, odrywając od niego wciąż ściskające go palce; naskórek oddarł się z suchym terkotem, kilka fragmentów szczelnie przywarło do metalu. Victor otworzył usta do krzyku, ale wtedy Nayhija przydzwoniła mu łomem w twarz. Teraz to ona złamała mu kość policzkową. Zawył i przycisnął ręce do obolałego miejsca. Zatoczył się, zrobił chwiejny krok w tył i zaczął zezować oczami na boki. Skulił się instynktownie, spodziewając się kolejnego ciosu, ale ten nie nadszedł.

Nayhija obrzuciła łom obojętnym spojrzeniem i odrzuciła go za siebie. Uderzył o chodnik z wibrującym, metalicznym szczękiem, odtoczył się kawałek i znieruchomiał. Victor patrzył na nią przez zasłonę z palców. Pomiędzy tymi na prawej dłoni sączyła się krew. Jej wewnętrzna strona naprawdę paskudnie mu się obdarła. Albo to, albo nos na nowo zaczął mu krwawić. Jego oczy uciekły w bok, po czym zaczął się cofać. Z początku powoli, następnie coraz śmiej. Nayhija widziała, dokąd idzie. I pozwoliła mu tam pójść.

Dopał ciała Jimmy'ego, osunął się na kolana i zanurzył dłoń w kałuży na wpół stężalej krwi. Prawą, tę poharataną. Godne podziwu. Wyciągnął sig sauera, poderwał się na nogi i wycelował w pierś Nayhiji. Ręka lekko mu drżała, ale jakoś udało mu się nad tym zapanować. Pociągnął za spust, lecz zamiast ryku wystrzału rozległo się tylko mało efektywne pyknięcie. Nayhija uśmiechnęła się złośliwie.

– Kurwa! – Potrząsnął pistoletem, jakby to mogło cokolwiek pomóc, i ponownie nacisnął spust. I znowu. I znowu. Znudził się gdzieś tak po szóstej próbie. Odrzucił bezużytecznego sig sauera, zerknął za siebie, tam, gdzie mógł zobaczyć tylny reflektor swojego mercedesa, i ponownie przeniósł wzrok na Nayhiję.

– No, chodź – szepnęła, a on wzdrygnął się, jakby ten szept był krzykiem. Rozłożyła ramiona i kiwnęła na niego palcami obu rąk w przywołującym geście.

Victor rzucił szybkie spojrzenie za siebie, przemyślał sprawę... i ruszył na Nayhiję z gromkim rykiem. W swojej wyobraźni był zapewne niezłomny i niepokonany, jak jeden z pięściarzy, których walki z taką lubością oglądał. Jednak rzeczywistość była daleka od wyobraźni.

Nayhija złapała go za nadgarstek prawej ręki, opuściła na swoją zgiętą w kolanie nogę i złamała mu łokieć jak wiązkę chrustu. Rozległ się suchy chrzęst, a zaraz po nim

przeszywający skowyt. Ramię wygięło się pod nieprawdopodobnym kątem, tak że łokieć zginał się teraz w przeciwną niż normalnie stronę.

– Czy to kości? – zapytała, szczerząc się szaleńczo.

Victor spojrział na przebijające materiał szarozółte szpikulce i zacharczał, jakby miał się zaraz porzygać.

– A mówiłam, żadnej broni, bo możesz skrzywdzić pieski – dodała, przelotnie zerkając na sig sauera.

Przypatrujące się im psy, jakby rozumiejąc, że zostały wspomniane, szczeknęły niecierpliwie. Jeden podbiegł parę kroków i zaczął merdać ogonem. Nayhija z chęcią by go pogłaskała, ale chwilowo nie miała czasu.

Puściła zgruchotaną rękę Victora, a ten zwałił się na ziemię, gdy pod wpływem szoku i bólu ugięły się pod nim nogi. Łkał, ostrożnie tuląc do siebie groteskowo wykręcone ramię. Spojrział na Nayhiję z mieszaniną nienawiści i przerażenia. Otworzył usta, zamknął, ponownie otworzył i potrząsnął głową.

– Uciekaj – zachęciła, machnięciem głowy wskazując miejsce, gdzie czekał zaparkowany mercedes.

Victorowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Okręcił się, przez chwilę pełzł po ziemi, szorując tyłkiem o beton, po czym chwiejnie podniósł się na nogi i popędził przed siebie niezbornym truchtem. Nayhija obserwowała go z mściwym uśmiechem doklejonym do ust.

Dopał samochodu, zipiąc i jęcząc. Szarpnął za klamkę drzwi od strony kierowcy, otworzył je... i uskoczył w samą porę, żeby nie uderzyło go ciało Rogera. Głowa mężczyzny opadła na pierś, następnie zsunął się z fotela, bezwładnie jak kukła. Przód garnituru miał sztywny od krwi z poderżniętego gardła. Victor kwiknął. Odepchnął go paroma kopnięciami i wskoczył za kierownicę.

– To dokąd jedziemy? – zapytała Nayhija z niedorzeczną radością, materializując się na miejscu pasażera, a z gardła Victora dobył się wrzask.

Rozdygotaną dłonią sięgnął do stacyjki, w której tkwił kluczyk. Przekręcił go. Silnik zakasłał, wydał z siebie gwizd i zgasł. Victor uniósł wzrok i dopiero wtedy zobaczył potężny konar pionowo sterczący z maski mercedesa. Gdyby był dzień, nie noc, mógłby służyć za zegar słoneczny.

– Chyba donikąd – dodała Nayhija, co Victor skwitował kolejnym przeraźliwym wrzaskiem.

Wypadł z auta, potknął się o ciało kierowcy, zwałił na strzaskany łokieć i zaskowyczał. W tym krzyku brzmiał taki ból, że niemal można było mu współczuć.

Ale Nayhija nie współczuła. Nie jemu. Nie kolejnemu potworowi.

Wychyliła się ponad siedzeniami, by lepiej widzieć. Victor z trudem podniósł się z ziemi, po czym rozchwianym krokiem okrążył mercedesa. Zaczął mocować się z klapą bagażnika. Wreszcie, po kilku bezowocnych próbach, udało mu się ją otworzyć. Dało się słyszeć serię głuchych stuknięć przeplatanych ze stękaniem Victora, po czym coś ciężkiego zważyło się na ziemię.

Nayhija wysiadła z samochodu i rzuciła Victorowi obojętne spojrzenie. Zrobiła ruch, jakby chciała się odwrócić, ciekawa jego reakcji. Nie zawiodła się.

– Hej! – zawołał schrypniętym od krzyku głosem. – Tu jest pięćset tysięcy. – Czubkiem buta trącił leżącą między nogami ciemnoszarą sportową torbę. – Weź je sobie. Po prostu je, kurwa, weź i zostaw mnie w spokoju! – Schylił się, rozpiął suwak i lewą ręką wyciągnął plik banknotów owinięty banderolą. – Same setki. Nieznaczone. Weź je i odejdz. Weź je wszystkie. Wiesz, ile to pieniędzy?

Nayhija zrobiła komicznie zdumioną minę i zaczęła się śmiać.

– Chcesz więcej? – ciągnął. Wyjął z torby dwa kolejne pliki, zamachał nimi przed jej twarzą, a gdy nie wyciągnęła po nie ręki, schował je do kieszeni płaszcza. Znów lewą ręką; prawa wisiała bezwładnie, strasząc lśnącymi kośćmi. – W porządku, dam ci więcej! Słyszysz?! Dam ci więcej pieniędzy, dam ci tyle, ile tylko zechcesz! Ile! Tylko! Zechcesz!

Nayhija podeszła do niego, złapała za policzki i przyciągnęła jego twarz do swojej twarzy.

– Myślisz, że wszystko można kupić, prawda? – wysyczała. – Odpuszczenie win dla morderców, spokojne sumienie dla potępionych, korzystna sprawiedliwość dla łotrów. Wolność za dolary, zdrowie za dolary, złamane obietnice naprawione za dolary.

– Dlaczego...? – załkał. – Dlaczego się po prostu nie odpierdolisz?

Palce Nayhiji mocniej wbiły się w miękką skórę.

– Chodź, Victorze, pokażę ci, co kupiłeś.

Zanim mógł zaprotestować, pociągnęła go w stronę pasażu handlowego.

Kwiczął, próbował bić ją zdrową ręką, ale była niewzruszona. Prowadziła go ku sklepowi z elektroniką, wbijając mu palce w policzki, z których już dawno odpłynęły kolory. Pod koniec wędrówki Victor chyba zrozumiał, że czeka go nawet coś gorszego niż śmierć – a może przed oczami przemaszerował mu orszak wszystkich ludzi, których w życiu zabił, kto to wie – bo zaczął się szaleńczo miotać. Nayhija jednak nie zwolniła chwytu.

Postawiła go przed witryną, za którą stały rzędy ustawionych na sobie telewizorów. Puszczany przez MTV teledysk zaczął się rwać, ekrany przecięły szare pasy. Obraz zniknął zupełnie, zastąpiony czarną pustką, po czym powrócił, a Victor wydał z siebie ten rodzaj krzyku, od którego mogą popękać struny głosowe. Wodził dziko oczami, jak koń który zwietrzył pożar, i robił wszystko, żeby wydostać się z żelaznego uścisku Nayhiji, ale nie miał szans. Musiał trwać. Musiał patrzeć.

Z nieba runęły pierwsze krople deszczu. Największy z psów zaszczekał, odwrócił się i odbiegł w ciemność. Pozostałe dwa poszły za jego przykładem. Zupełnie jakby rozumiały, że spektakl przekroczył punkt koszmaru, którego nie potrzebowały dłużej oglądać, pomyślała Nayhija. Ale ona musiała. Ona w nim żyła.

– Spójrz – szepnęła Victorowi do ucha. Chciał odwrócić twarz, ale nie pozwoliła mu na to. – Nie rusza się, ale dla niego to chyba nie problem, co?

Rozszerzonymi, nabiegłymi krwią oczami patrzył na rzędy monitorów, które pokazywały jego żonę, leżącą na łóżku w ich sypialni w Trenton. Miała zamknięte oczy i była bezsprzecznie martwa – to, co gnieździło się w jej mózgu, wreszcie ją zabiło. Tak samo martwy powinien być wdrapujący się na nią Jimmy, a mimo to żył. Tam, na srebrnych ekranach.

– Nie! Nie, proszę! – Po policzkach Victora spływały łzy, mieszając się z deszczem. – Proszę...

– Wszyscy prosicie – powiedziała Nayhija lodowato. – Zawsze wtedy, gdy jest już za późno.

Victor wył, płakał i dygotał, patrząc na to, co martwy-nie martwy Jimmy robi z jego bezsprzecznie martwą żoną. W którymś momencie jej powieki uniosły się, a usta

wykrzywił grymas rozkoszy. To było jego Waterloo. Skapitulował. On i jego zdrowe zmysły.

Nayhija cofnęła rękę. Victor się zachwiał. Przez chwilę wydawało się, że runie na kolana, ale jakoś udało mu się ustać na nogach. Pustymi oczami patrzył gdzieś w nicość.

– Co...? Teraz...? – zapytał, raczej siebie niż ją.

Mimo to Nayhija postanowiła udzielić mu odpowiedzi.

– Dlaczego tego nie skończysz? – zapytała z pieszczotliwą lekkością.

Krople deszczu rozbijały się o ziemię. Spadały z nieba coraz gęstszym strumieniem. Były zimne. Niosły chłód podobny do tego, który Nayhija czuła głęboko w sobie. Zupełnie jakby był tam od zawsze. Bezczasowy. Nie znający litości. Ani zapomnienia.

– Skończyć? – zapytał Victor nie wiadomo kogo.

Nayhija wyciągnęła przed siebie dłoń. Na koniuszkach jej poczerwiałych do drugiego stawu palców zatańczyły płomienie. Victor przyjrzał im się z bezmyślną fascynacją.

– To proste – zachęciła, po czym wzmocniła to kłamstwem: – I prawie bezbolesne.

Pogrzebał w kieszeni płaszczka i wyjął plik banknotów. Nayhija zbliżyła się i musnęła dolary czubkiem palca. Ogień przeskoczył i zaczął je łapczywie konsumować. Choć deszcz błyskawicznie je zmoczył, nie stanowiło to problemu – zapłonęły jak suche szmaty.

Victor przyjrzał się płonącym pieniądzom, po czym wetknął je sobie do kieszeni. Ogień buchnął ze zdwojoną siłą, wypełził na materiał eleganckiego płaszczka i zaczął się wspinać wyżej. Victor obrócił się plecami do sączących błękitne światło ekranów, wciąż pokazujących, w jaki sposób Jimmy zabawia się z Lucile Pine, i usiadł na ziemi. Skrzyżował nogi w kostkach i patrzył w jakiś nieistniejący punkt, podczas gdy ogień trawił jego ubranie. Kiedy zabrał się za ciało, Victor zaczął krzyczeć. Nie próbował jednak zdusić płomieni, po prostu krzyczał.

W którymś momencie poderwał się na nogi i zaczął biegać w kółko.

Nayhija patrzyła na to w milczeniu. Wreszcie obróciła się i wolnym krokiem ruszyła w stronę przeciwną do tej, gdzie umierał Victor Pine. Na jej prawym ramieniu przeskakiwał płomień, tańcząc wdzięcznie, nie wyrządzając jej najmniejszej krzywdy. Podeszwy jej butów uderzały o ziemię z ponurym stukotem. Ten dźwięk mieszał się z szumem deszczu i trzaskiem ognia.

Po chwili deszcz ustał.

Tylko ogień pozostał.

Poczuła nagłą, niemal wyczekiwaną obecność i uniosła wzrok. Przez jej twarz przemknął niewyraźny grymas. Przy znaku stopu stał mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze. W pozie miał coś nonszalanckiego, między wskazującym a środkowym palcem prawej dłoni trzymał papierosa. Był przystojny w złowrogi, surowy sposób. Ciemne włosy zaczesane miał do tyłu, twarz bladą, gładko ogoloną, raczej młodą, a jednocześnie dziwnie pozbawioną wieku. I oczy. Czarne i błyszczące. Takie oczy nie mogły należeć do człowieka.

I nie należały.

Mężczyzna w czerni zaciągnął się, wypuścił sinoniebieski dym, upuścił papierosa na ziemię i zgasił go obcasem buta. Przy tych nielicznych okazjach, kiedy palił, zaciągał się raz, góra dwa i wyrzucał papierosa. Zupełnie jakby chciał pokazać, że rzeczy nic dla niego nie znaczą, że nic z tego poziomu rzeczywistości nie ma dla niego znaczenia.

Podszedł do niej. Wskazującym palcem musnął jej ramię, to, na którym przeskakiwał płomień, i zdjął go, tak jak zdejmuje się paproch. Ogień zatańczył na opuszku jego palca. Mężczyzna przyjrzał mu się, po czym dmuchnął i płomień zniknął.

– Ładne samobójstwo, kochanie – pochwalił, brodą wskazując płonąca sylwetkę w tyle.

Kąciki warg Nayhiji uniosły się w uśmiechu. Jednak jej oczy pozostały poważne.

– Mam wprawę w samobójstwach.

Mężczyzna w czerni przybliżył się i objął ją w pasie. Przesunął wargami po jej szyi i wyżej, muskając policzek. Nayhija poczuła przyjemne mrowienie. Dotyk mężczyzny w czerni był elektryzujący, pożądany.

– Mówiłem już, że wybornie pachniesz?

– Tak, wspominałeś. – Nayhija położyła mu dłoń na piersi i spojrzała ponad jego ramieniem, na zaparkowanego przy krawężniku ciemnozielonego chevroleta malibu z 1969 roku. – Jedziemy nim do firmy?

Mężczyzna powoli pokiwał głową.

– Ostatecznie, owszem.

Nayhija uniosła brew.

– A wcześniej?

– Zaskocz mnie. – Wzmocnił uścisk. – Wiesz, że cenię twoją kreatywność.

– Tak... – Wyszwoodziła się z jego chwytu i niespiesznie ruszyła w stronę chevroleta. – To również pamiętam.

Ciało Victora Pine'a dopalało się jeszcze długo po tym, jak odjechali na zachód.

Zniknęli bez śladu, jakby nigdy ich tu nie było. Tylko woń siarki pozostała.

I kryjący się pod nią zapach mroźnego wiatru.